

GDY SPOTYKAŁEM KSAWERA PRUSZYŃSKIEGO

Od dawna pragnę pisać o Ksawerym Pruszyńskim. Odkładałem to — jak mi się zdawało — dla braku precyzyjnych danych, które by podbudowały uciekające wspomnienia. Odkładałem, nie chcąc pisać o sobie pod pozorem wspomnień o zmarłym. Odkładałem wreszcie dla tysięcy powodów, które sprawiają, że pióro wypada z ręki nawet wtedy — albo właśnie wtedy — gdy coś jest zbyt żywe w umyśle. Kto nie odkładał pióra? Kto z tych, co pisali wspomnienia o zmarłych, nie pisał o sobie? Kto wreszcie zebrał te precyzyjne dane, aby odszyfrować człowieka bez reszty? Tygodnik jest może ostatnią ostrogą, która tę przysłowiową garść wspomnień wyzwała i na jakiś czas ocali.

Był listopad 1939 roku. Ksawery opisuje to dokładnie w *Trzynastu opowieściach*:

...Granicę w Modanie przejeżdża się zwykle wieczorem... Przez środek baraku prowadziło przejście... po obu stronach leżała słoma, a na niej Polacy... Do późna w nocy gadano w baraku... O Polsce, jaka będzie, o rodzinie, od której nie ma wieści, o którymś bracie rozstrzelanym, o czyjejs matce wywiezionej, o domu, który spłonął, i o wielu innych złych rzeczach, o których ludzie Zachodu nie lubią słyszeć, bo im to źle działa na trawienie.

Tam, w jednym z kątów tego baraku, grupka ludzi rozprawiała żywiej. To wśród nich, w samym środku ich kręgu siedział Ksawer, a dokoła czterech czy pięciu młodych dyskutantów, jeden z nich Jerzy Paczkowski. Modana tonęła w ciemnościach — było to już po stronie francuskiej. Lampa w baraku nie była zbyt jasna. Od Alp tchnęło już zimą. Droga była daleka, prawdziwie w nieznane. Ksawer pisze o tej drodze do obozu wojska polskiego w Coetquidan:

Jechaliśmy przez Francję przez trzy dni i dwie noce, przesiadając się trzynaście razy.

W czasie tej długiej podróży stałem przeważnie obok niego w korytarzu, przysłuchując się jego długim dyskusjom z naszymi współtowarzyszami podróży. Z każdą godziną podziwiałem coraz bardziej żywotność i temperament, bystrość i inteligencję Ksawera. Byłem podówczas więcej niż czarnych myśli — jechałem do tego naszego wojska we Francji jak do Hadesu, z którego nie ma powrotu. A Ksawer?

Już konstruował całą legendę, bajkę i historię. Już widział Legiony Dąbrowskiego, walki Kościuszki i wszystkie jakie tylko były powstania. Słuchałem, jak słuchali inni. Romantyk? Polityk? Artysta? A może marzyciel? Ale co za człowiek wspaniały! Gdy pociąg stukał i mijały Lyony i Orleany, przysuwałem się coraz bliżej, zafascynowany tym zjawiskiem — jak zawsze wtedy, gdy mam wrażenie, że patrzę życiu prosto w twarz.

W drugim dniu podróży Ksawer był już ośrodkiem, koło którego skupiali się po cywilnemu przebrani jadący z nami żołnierze.

Rozprostowując kości znalazłem się z nim o świcie sam w korytarzu. Po chwili wpatrywania się w ponurą szarugę jesienną odezwałem się pierwszy, bez wstępów: „Dopiero teraz zrozumiałem te niesłychane dla mnie dotąd fakty z historii, gdy jedna wojna czy nawet jedna bitwa może zmieść z powierzchni nie tylko państwo, ale nawet naród”.

Ksawer natychmiast zareplikował: „Co ty mówisz? Wojna trwa dalej. A naród? Patrz na ten pociąg, co to za przekrój ludzki, masz tu Polskę w probówce. A kraj? Przejechałem go po tej klęsce. Niemcy ze swoimi metodami doigrają się tylko tego, że spełni się hasło tego idioty Rydza: «zwarci, silni, gotowi». Już się spełniło. A zresztą po co ty tu jedziesz? Żeby walczyć czy żeby ginąć? Mój kochany, narodu się tak łatwo nie wykańcza, jak myślisz”.

Nie byłem tego tak pewien w czasie tej ciemnej zimy, ale odtąd trzymaliśmy się już razem.

Wysiedliśmy razem w Guer, razem wstąpiliśmy podstępnie do podchorążówki, do której nie przyjmowano już wtedy nowych, i razem odbywaliśmy służbę. Ksawer był nieocenionym towarzyszem: włóczęga, prawie tramp, nie tracąc nigdy humoru ani kurażu, można by powiedzieć, że bawił się wojną jak Sienkiewiczowski bohater, nie tracąc przy tym z oczu jej powagi, grozy i

wielkości. Przy całym swoim cywilnym do wojskowości stosunku chciał być dobrym żołnierzem, chciał, aby nasze dywizje odegrały wymarzoną przez niego rolę w zmaganiu się z nieprzyjacielem. Widział przy tym cały komizm własnej sytuacji, gdy on, inteligent, zagubiony w komiśnym, fatalnie dopasowanym mundurze, z głową nabitą historią, polityką i poezją, miał z zamkniętymi oczami złożyć karabin maszynowy czy na ćwiczeniach wydawać rozkazy plutonowi piechoty. Cierpiał nad pomyłkami, które mu się wtedy zdarzały dzięki wrodzonej dystrakcji. Ale za to w marszu co to był za kompan! Gęba mu się nie zamykała, a gdy zmęczenie ogarniało nasz pluton, zaczynał mówić wiersze. Znał ich mnóstwo na pamięć.

Ale koledzy najchętniej słuchali Tuwimowskiego przekładu Swietłowa:

Jechaliśmy stępa,
pędziliśmy w kłębach
i Jabłoczko piosnkę
trzymaliśmy w zębach.

Na bretońskich pagórkach najbliższe szeregi słuchały w marszu rytmicznej deklamacji Ksawera:

...Jam chatę porzucił
i walczyć szedł po tom,
że ziemię w Grenadzie
ja oddać chcę chłopom.
Żegnajcie, najmilsu,
powrócę, Bóg da!
— Grenada, Grenada,
Grenada maja.

Oficerowie, którzy zapełnili Coëquidan, strzygli uchem, ale szeregi nasze słuchały. Ksawer szedł w drugiej czwórce za mną. Ballada rewolucyjna, o której pisał on potem w *Różańcu z granatów*, brzmiała dziwnie w tej armii, której część poszła walczyć do północnej Norwegii, a część wysłana została na linię Maginota. Ten podział i nas rozdzielił.

Przed rozstaniem kompania nasza w pełnym uzbrojeniu wysłuchała polowej mszy świętej. Ksawer stał znowu za mną, w drugim szeregu. Gdy prezentowaliśmy broń na podniesienie i widzieliśmy nad ołtarzem wielkie czerwone płótno z białym orłem w pośrodku, usłyszałem szept: „To zupełnie, jakobym się modlił do tego orla”. Nie można było drgnąć. Bagnety na karabinach zdradziłyby najłżejszy odruch. Więc nie odpowiedziałem mu nic, ale pomyślałem, że Ksawer to w dodatku jeszcze i poeta. Bo czymże innym jest takie widzenie i odczucie świata, które natychmiast kształtuje obrazy nie w komentarzu, ale w sprecyzowanej, poetyckiej właśnie formie? Dla Ksawera to, co się działo, było natychmiast i historią, i polityką, i poezją. Dlatego też on pierwszy był dla mnie dowodem, jak złudny jest sąd, że się myśli apolitycznie.

Przed rozstaniem odbyliśmy długi wspólny marsz do wioski Comblessac, w której stacjonowała nasza dziewiąta kompania. Była to wczesna wiosna 1940 roku. Wyszukaliśmy po drodze jakiś bardziej nagrany słońcem kamień i przysiedliśmy na nim, rozpinając mundury.

„Czy myślisz — przerwałem chwilę ciszy — że Hitler bardzo by się przestraszył widząc nas tutaj?”

Ksawer śmiał się, a potem zareplikował: „A właśnie, że tak. Bo pomyśl tylko, co on musiał narobić, żeby takich dwóch cywilów jak my siedziało tu w mundurach”. Krążyliśmy dokoła wypadków wojennych. „Przegrać musi — dowodził Ksawery — nawet nie dlatego, że to, co wymyślił, jest niesłuszne i obłudne, ale dlatego, że z takim systemem nikt się nie może zgodzić poza członkami NSDAP. A koalicja zawsze w końcu zwycięży”.

Myślałem o tym często, w ciągu najciemniejszych chwil, które wkrótce po tej rozmowie nastąpiły, gdy w przemówieniach słyszeliśmy o niezwyciężonej Rzeszy rozciągającej swe panowanie „*von Nordkap bis zu Biscaya*” i gdy Europa była jednym wielkim obozem, po którym hulało SS. Ale o Ksawerze nie wiedziałem już potem, nawet tego nie wiedziałem, czy żyje.

Za to był jednym z pierwszych, jakiego spotkałem w czerwcu 1945 roku w Paryżu. Na małym balkoniku w Passy staliśmy znowu razem, oddzieleni od osób należących do świata emigracyjnego nie tylko szklanymi drzwiami, ale już i całym pragnieniem powrotu do Polski.

„No, a teraz co ty będziesz robił?” — pytał mnie Ksawery. Z pewnym zażenowaniem wobec jego postawy i wielkiej aktywności odpowiedziałem: „Wiesz, ja jednak dalej nie jestem politykiem, tylko muzykiem.” Ksawery śmiał się: „No, to jedź tam prędko i pilnuj muzyki”.

I w powiedzeniu tym była znowu ta nuta Ksawera — jego wiary w siły ludzkie. Była ambicja, żeby tych sił nie marnować w bezruchu. Ksawery miał niewątpliwie wielkie ambicje, ale chciał też zawsze i drugich nimi zarażać. W poczuciu, że teraz w Polsce wszystko staje się na nowo, rwał się do jak najaktywniejszego udziału w tym nowym życiu. Doprowadziło to do konfliktu z wrogą lub — w najlepszym razie — wyczekującą emigracją. Ksawer, który zrazu chciał ten stosunek „klajstrować”, nie wątpił nigdy, gdzie jest jego miejsce.

*

Gdy jechałem tramwajem z Mokotowa na zebranie Związku Kompozytorów, zobaczyłem w czyimś ręku gazetę, a w niej na pierwszej stronie tytuł: *Śmierć Ksawerego Pruszyńskiego*. Poprosiłem o pożyczenie tego numeru na chwilę. A potem jechałem dalej, patrząc na szerokie widoki, jakie otwierają się na Puławskiej w stronę Wisły. Wszystko prześwietlone było słońcem w tym gorącym dniu czerwcowym.

„Pilnuj muzyki” — brzmiało mi w uszach, a w sercu walczyłem z tym osadem, który się kładzie, gdy w pół drogi, znienacka śmierć wyrywa kogoś bardziej żywego od wielu tych, którzy nas otaczają. I pomyślałem wtedy o Manuelu z Ksawerowego opowiadania *Odejścia i powroty*. Manuel jedzie czołgiem na bitwę. Manuel to Ksawer. Ksawer-rycerz, jakim był i w myśleniu, i w wojsku, i w życiu.

Nie wystarczy — pisze tam Ksawer o Manuelu — doszedłszy do jakichś twierdz, wcielać je na użytek własny; trzeba je dawać innym... Trzeba zostawić ś 1 a d. Trzeba wejść w glinę dróg narodowych kolejną, trzeba przejść przez ich rżysko grubym rozkrojem lemiesza czy — lepiej — rozmiesić je ciężkim ugniotem traktorowych gąsienic... Czy nie należy odrywać starego bluszczu, choć sławą przyległ do ścian, jeśli niesie dziś tylko wilgoć, kryje zmurszenie, przesłania światło? Trzeba. Czy nie trzeba dopowiadać do końca myśli nowych, choćby cięły jak nożem?

I jeszcze to jedno, o czym Manuel myśli w swoim czołgu:

Co miałem powiedzieć, rzekłem. Com miał napisać, napisałem.

Jechałem ciągle tramwajem i usiłowałem tam sobie przypomnieć to, co Manuel myślał, a dzisiaj przepisuję kilka tych słów, w czwartą rocznicę śmierci Ksawera, który mógł jeszcze tyle powiedzieć i tyle napisać.

Zygmunt Mycielski, *Szkice i wspomnienia*, Warszawa 1999, s. 30–36.